

Oraz w życiu.

Małgorzata Czermińska

Małgorzata CZERMIŃSKA

Oraz w życiu

Redaktor Naczelny postawił przed nami pytania tak fundamentalne, że aby odpowiedzieć na choć na jedno z nich w możliwie adekwatny sposób, trzeba by napisać jeśli nie całą księgę, to przynajmniej gruntowną rozprawę. Albo przynajmniej wypruć z siebie metodologiczne bebechy i bryzgnąć nimi na karty szacownego dwumiesięcznika. Co do pierwszego zadania – nie czuję się na siłach, by mu sprostać. Na drugie – nie mam ochoty. Pozorna prostota postawionych pytań uprzytamnia jednak, że dotyczą one spraw, z którymi w praktyce musimy się mierzyć, pisząc każde zdanie (bez względu na podjęty temat). A także – wybierając teksty i problemy do naszych zajęć ze studentami. Więc tak czy owak nie można się od nich wymigać. Skoro jednak termin krótki (niestety) i objętość nieduża (na szczęście), zajmę się przede wszystkim dwoma słówkami wtrąconymi nawiasowo w ramy pierwszego pytania: „Czym jest literatura (i jakie jej miejsce w kulturze oraz życiu)?”. Lubię żyć (im dłużej, tym bardziej), z literaturą mam do czynienia, od kiedy siebie pamiętam i tylko dzięki niej zarabiam na utrzymanie, więc powinnam wiedzieć, jak łączy się jedno z drugim. A jednak związki obu tych sfer wydają mi się równie niewątpliwe, co trudne do opisania i zarazem najważniejsze w naszym zawodzie (przy czym nie mam tu na myśli problematyki reprezentacji i jej dylematów).

Zaryzykowałabym powiedzenie, że w odbiorze nieprofesjonalnym, w doświadczeniu czytelniczym na poziomie codziennej egzystencji, literatura jest traktowana jako opowieść o świecie, którego nie możemy poznać osobiście, więc wzbogaca i poszerza nasz własny świat, bezpośrednio dostępny. Bywa wehikułem czasu, podróżą w przestrzeni, wglądem do cudzej duszy, myśli, emocji, wrażeń, których inaczej nigdy nie moglibyśmy poznać. Pomaga nam też zrozumieć siebie samych, dzięki porównaniu z innymi ludźmi. Pozwala zbliżać się do niejasnych impulsów

Wyznania

nieświadomości, wychodzić naprzeciw własnym lękom, czasem po prostu staje się ucieczką, znieczula na uderzenia losu. Wprowadza w świat myśli, idei, wartości. Uwodzi swoim pięknem. Odkrywa, że język to osobny, nadzwyczajny świat o niemal bezgranicznych możliwościach. Bawi nas, uwalnia od ciężaru powagi, pomaga zdobyć się na dystans do siebie i do świata. Zabiera w rejony czystej fantazji, gdzie możliwe jest wszystko, co się tutaj nigdy nie zdarzy. Bywa świadectwem. Odpowiedzią na traumę. Ocala pamięć o tym, co już minęło, i choć jest nie do odzyskania w życiu, jednak trwa w wyobraźni jako to, co kiedyś b y ł o n a p r a w d ę. Literatura zna do tego znikniętego świata drogę lepszą niż pamięć. I choć powrót do przeszłości oferowany przez zbiór słów, składających się na tekst, nigdy nie prowadzi w to samo miejsce, które zostało opuszczone, co więcej – przy każdej lekturze tego samego tekstu trafiamy nieco gdzie indziej, niż byliśmy poprzednio (czasem nawet zupełnie gdzie indziej), to jednak nie jest to strata, lecz wzbogacenie. No, strata jednak też, ale to nie jest strata pełna, tylko cena, jaką płacimy za zdobycie (otrzymanie?) czegoś nowego. Z każdą lekturą następuje odnawianie znaczeń, jak przypominała Maria Janion. Kolejne odczytania nawarstwiają się jedne nad drugimi i literatura żyje w nas jako ciąg naszych lektur zmieniających się za każdym razem (o ile możemy pozwolić sobie na luksus ponawiania, wychynawszy na chwilę z pościgu poznawania coraz nowych tekstów). A jednocześnie te odczytania moje własne nie tylko różnią się między sobą, ale przede wszystkim są inne od Twoich, a także od lektur Jej i Jego.

Na szczęście jednak pozostaje to, co napisane. Bardzo rzadko, a szkoda, usłyszane w głośnym czytaniu, choć kultura audialna, wspomagana przez elektroniczne media, coraz częściej pozwala nam wrócić (jak przypomnieli Walter Ong), do takiego obcowania z literaturą, choć na zupełnie innym piętrze, którego przez wieki dostarczali słuchaczom bazarze, bardowie, guślarze itp., a także wędrowni aktorzy i śpiewacy. Otóż to, co napisane, jest rdzeniem literatury. Nie jest martwą inskrypcją, nagrobkiem niegdysiejszej obecności. Istnieje pomiędzy Piszącym a Czytającym, nawet jeśli jest zawieszona w sieci i zjawia się na ekranie komputera, a nie na kartce papieru. To, co napisane, jest miejscem spotkania. Nie potrafię zrezygnować z rozumienia literatury jako komunikacji. To, że komunikacja natrafia na rozmaite przeszkody, nie znaczy, że nie istnieje i nie jest elementarną potrzebą człowieka, jako istoty posługującej się językiem. Wiele konstatacji Gadamera ciągle brzmi przekonująco, aczkolwiek ich podniosły ton niekiedy dźwięczy trochę anachronicznie. Podzielał jego przekonanie o konieczności, możliwości i skuteczności (nigdy ostatecznej) uprawiania interpretacji. Rozumiejące czytanie (świadome swych ograniczeń) uważam za najważniejszy sposób obchodzenia się z literaturą – właśnie dlatego, że w akcie czytania zanurzamy się w literaturze „oraz w życiu”, którym ona nie jest, ale którego dotyczy, nawet jeśli się od niego w swoich tematach i konwencjach odwraca.

Bardzo to jest ciekawe, że wśród twórców i wyznawców zupełnie różnych szkół metodologicznych, nieraz fundamentalnie ze sobą skłóconych, istnieje zupełnie nieformalne bractwo zwolenników interpretacji, mafia, wykraczająca poza oficjalne

struktury określonych nurtów badawczych (co już dawno zauważył Janusz Sławiński). Wspomnę tylko o dwu problemach, którymi nieustannie zajmują się zwolennicy i teoretycy interpretacji, zajadłe różniący się w odpowiedziach (a przede wszystkim w podstawowych konstatacjach filozoficznych, zarówno na temat literatury, jak świata), ale podejmujący te same pytania: czym jest intencja i jakie są granice swobody czytelnika/interpretatora? Wspomnę tylko o trzech przykładach: hermeneutycznym (według Hansa Georga Gadamera interpretator docierając do sensu unika niebezpieczeństwa subiektywnej dowolności dzięki postawie dialogowej), semiotycznym (Umberto Eco jest przekonany o istnieniu intencji autora, wpisanej w znaczenia tekstu, z czego wynika dialektyka twórczej inicjatywy badacza i jego wierności autorowi) i pragmatycznym (Stanley Fish rozumie intencję nie psychologicznie lub semantycznie, ale dyskursywnie, jako ramę modalną funkcjonującą kulturowo, dzięki której wypowiedź może być zrozumiana, a dowolność czytelnicznych hipotez jest ograniczana regułami instytucji literatury i wspólnoty interpretacyjnej).

Słowa i ich znaczenia, ich układ (czasem nawet materialny kształt), stanowią centrum, wokół którego krążymy wszyscy: ten/ta kto napisał/napisała i ci, co czytają. Można mówić, że to nie żadne centrum, tylko mgławica. Ale przecież centrum nie musi być przedstawiane jako mały, twardy punkt, w który trzeba dokładnie trafić. I wcale nie musi być ośrodkiem władzy. Centrum, które przyciąga czytelnika może być wyobrażone jako pewna przestrzeń, niechby i mgławica, jeśli zgodzimy się na metaforę działania siły ciężenia. Odrzucenie „błędu intencji” (w rozumieniu Wimsatta i Beardsleya) miało przecież w podtekście takie „punktowe”, „twarde” rozumienie autorskiej intencji, która nie jest literalnie możliwa do bezspornego ustalenia i ostatecznie sprowadzała się do intronizacji jednego odczytania „udowodnionego” przez krytyka.

To, co napisane, nie może być jednak traktowane jako puste pole dla nieogarnionej ilości dowolnych odczytań. Wracając do grawitacyjnej metafory: centrum tekstu/utworu/dzieła nie jest małym punktem znaczenia, w którym czeka zwinięta odpowiedź na nieśmiertelne pytanie „Co autor chciał przez to powiedzieć”, ale polem znaczeń, wytwarzającym siłę przyciągania. Lekturę można przedstawić jako wejście na jedną z orbit, krążenie w zasięgu tego właśnie przyciągania, nie jakiegokolwiek innego. Możliwość zmiany orbity, przechodzenia z jednej na drugą – ale tak, żeby nie wypaść poza choćby minimalne działanie siły grawitacyjnej i nie odlecieć bezpowrotnie – wyznaczają reguły sztuki interpretacji – jakkolwiek są one w różnych metodologiach rozumiane. Decydując się na gest oderwania od siły przyciągania, emanującej z utworu, wprawdzie coś osiągamy, mianowicie swobodną wędrówkę poznawczą w świat własnych skojarzeń, ale to jest już tworzenie literatury własnej, a nie spotkanie tej stworzonej przez kogoś innego. Interpretator to jednak ktoś, kto w swoim życiu spotyka cudzy tekst.

Czytanie i rozumienie literatury ma taką wartość, że ów cudzy tekst daje nam coś, czego sami nie mamy. Rezygnując z dyscypliny sztuki interpretacji odwracamy się od tego, co moglibyśmy zdobyć. Ataki „przeciw interpretacji” mają sens o tyle,

Wyznania

o ile zwracają się przeciwko jej nadużyciom, wykoślawieniom, uproszczeniom, dogmatyzmowi, przemocy. Lub odwrotnie: przeciwko jałowości bezrefleksyjnej postawy utożsamiającej, kiedy krytyk był „sługą uniżonym tekstów”, przed czym kpiąco przestrzega Stanley Fish. Natomiast elementarny, hermeneutyczny impuls zrozumienia czegoś, co nie jest mną (albo tego, co we mnie, ale nie poddało się rozumieniu) jest wartością, z której nie warto pochopnie rezygnować. Dlatego literatura ma swoje niezastąpione miejsce (w kulturze oraz w życiu). A już z pewnością w życiu nas, literaturoznawców.

Abstract

Małgorzata CZERMIŃSKA
University of Gdańsk

And in Life

A reply to the questionnaire on the occasion of the 20th anniversary of Teksty Drugie: my personal views on literature, literary studies and other issues of consequence.

On literary orbiting: at the centre of text/work/oeuvre is a field of signification that generates a centripetal force – a force of attraction; meanwhile the process of reading may be imagined as entering one of the orbits, revolving within the reach of this – and no other – force.